

Próby negocjacji



MARTA PODGÓRNIK

Próby negocjacji

prequel

O stu tysiącach Alej Piłsudskiego, rwących pod oknem, gdy budzi mnie w Hotelu dzwonek. Że nie znam źródeł ni prawideł gry, do której ani nie zapraszam. Wiem wiele, jak na swoje 36 lat.

Psikus światła w odłamkach szyb, w drodze na gorzką impresję z finałem, co nie smakuje za razem. Potrzeba dokonań, nim się stanie przedmiotem. Zdrowo pokręciło! Pito *zdrowie* i zgodnie

paliliśmy mocne i cukierki jadłam garściami. Dziwne odrętwienie. Nadciągają pociągi z Częstochowy i Białegostoku, z Opoła, Poznania. Zetony C i odrębne unie biletowe. *Esoes* z wywczasów:

wartcy, względni i zgodni! Ubezpieczaj mnie, po południu wpadaj zamknąć pocałunkiem usta. W ciemno. Nic właśnie się zdarza. Zuch dziewczyna! Chyba się porzygam. Stoję jak reklama *O czym*

piszesz pod neonem Dworzec Łódź Fabryczna. Martwieją opuszki planów. Mam jeszcze 17 lat i jestem, nie wiem jak napisać

7 grudnia 1996

plodne dni

W takie dni już tylko herbata liptona nad tomikami bohdana zadury, albo poprawianie dykcji przed brązowym lustrem.

na przystanku smarkanie wprost do kosza z przytrzymaniem jednej dziurki, i po czesku odwracanie numerów autobusów i tak jadących w jedno i to samo miejsce.

już tylko umywanie rąk od wszystkich ważnych i nieważnych, od przegranych naszych bitew, od zaraz. mimowolne przelykanie umykającego spod podeszw kurzu, latarniane puszczenie oczek w rajstopach kabaretkach.

nazywają to szerokim układem odniesienia,
jeśli to coś mówi komukolwiek.

w takie dni już tylko do skupu butelek,
po więcej pustki, po więcej.

szerokie spektrum

wydarza się i czujemy się w obowiązku udawać,
że nie u nas. to — nie wiedzieć czemu nie nazywane
po imieniu, postępujące jak wada wzroku i nie do
przerwania jak nieustająca nowenna, w czasie której
wyjście z kościoła jest nie tylko profanacją, jest
towarzyskim samobójstwem.

coś jak odwieczny dylemat wykreślenia z notosu
aktualnych numerów do nieaktualnych przyjaciół.
i bez tego mamy sporo w zanadru, ale nie tyle,
by czuć się zbyt pewnie.

chłopcy idą na własną wycieczkę, smutne dziewczęta
w pobliskim barze. wszyscy grają w gry. to właśnie
jest szerokie spektrum.

zadziwiająco, że kolejny raz udało się powrócić cało
z czarnej dziury.

bez możliwości ruchu w tę czy we w tę

głód nie daje wyboru. odczytane z trudem hieroglify
płam nie drażnią już niewiadomym pochodzeniem. czas
znajduje kupca na brudne ubrania, jak zwykle gotowego
zapłacić ciut więcej za to, co pod spodem.

nie spodziewał się blizny. rozpoznanie sprowadza
odmowę bez prób negocjacji. to są falstarty zamierzone,
potknięcia dopuszczalne. prawdziwe niebezpieczeństwo
dopiero ma nadejść.

chwilowo cisza przed burzą jak w kościele po mszy,
kiedy zostaje tam tylko tysiąc jeden drobiazgów
zgubionych przez wiernych. front jak zwykle przesuwają
się, nim zdążasz go zmienić.

prognoza optymistyczna

duszny spokój pensjonatu obumarłego na czas
płażowego szczytu. siedzieć i patrzeć w wyłączony

czarno-biały telewizor, pukając w czoło i w ścianę,
zza której dobiegają jęki.

już jutro stąd wyjechać — wsiąść do pociągu i się
wdzięczyć lub udać zaczytanie w oczach i gazetach,
z mądrą miną kogoś, kto wie dużo więcej.

albo wytrwać, karmiąc się prognozą zasłyszaną w radiu:
„przyszły tydzień przyniesie spodziewane zmiany”.
że też to zawsze musi przytrafić się latem, kiedy
powinno się tylko na piwo pod parasole, gdzie jego

smak po raz pierwszy nie różni się od żadnego innego
smaku, upalne popołudnie przyjemnie bez perspektyw
jak wizja ucieczki z czeskim wesołym miasteczkiem.
na złość wszystkim przemaka się na swoim leżaczku
do suchej nitki, nikogo to jednak nie porusza.

asymetria

prawa strona mojego ciała, czująca się lepiej
niż lewa, przesyła pozdrowienia:

słońce operuje z precyzją chirurga usuwając bledość,
opornych opala do cna jak amator cudzych papierosów.
i po takie przychodzi nam przecież sięgać w pociągach
ekspresowych, gdy wyskoczenie po paczkę cameli light
w czasie dwunastosekundowego postoju na stacji
pionki zachodnie byłoby karygodną krótkowzrocznością.

coś w tym mimo wszystko musi być, jeśli wszyscy się na to
łapią, biorą na ten lep. więc skoro już wsadzono nas do
tego pociągu z życzeniami przyjemnej podróży, spędźmy ją
na korytarzu, koniecznie w przeciagu, trącani brzuchami
i walizami przechodzących.

ktoś to starannie z góry zaplanował i wszczepił nam
mikronadajniki wielkości tabletek aviomarin. nie mógł jednak
przewidzieć objawów ubocznych, naszego nie wpisanego w kosztorys
kaprysu, by wyjść i nie wrócić już w to samo miejsce.

asymetria dążeń i spełnień cechuje nas w równym stopniu
co przepocona pod pachami koszulka god save the queen
sex pistols.

niepokojąco, tendencja utrzymuje się. i pogłębia.

abstynencja

więc jeśli złapałeś silny wiatr w żagle,
to już nie przelewki. wiesz rozumiesz — te
zbyt szybkie piłki bywają zabójcze.
z dwóch ewentualności, chcąc pożyć dłużej,

wybiera się nudną.
inaczej wartościować nie sposób.

oczywiście zrobisz to po swojemu, na cienkiej
granicy farta, lekceważąc wciąż nasilające się
objawy. wypracujesz żelazne alibi na czas
planowanej puenty doskonałej.
jedyne, co ci grozi, to śmierć z odstawienia.

nawroty

oblizać rdzę jak łyżeczkę wyciągniętą z głębi
tortu, jak spierzchnięte wargi na przystanku.
wychodzę, wołam autobus, nad słuchuję odpowiedzi.
jak zawsze bezskutecznie. teraz to on mnie woła.

przyśpieszać jak tempo w finale, kiedy tuż tuż
trzeba się zwijać. dzwonek do drzwi, udawanie, że
nas nie ma. złowrogi szcęk zamka, szybki odwrót,
jak nawrót choroby znowu przystanek. po powrocie

gryźć pościel jak mysz kabel, wysączając nadmiar
śliny kącikami ust. na pragnienie zardzewiały
kran, z wiszącą jedną kroplą szarego śluzu. nie
ma wyboru. zlizana wilgoć rozcieńcza smak w ustach.

jazda?

jazda bez trzymanki na imprezie albo tramwajem kończy
się zwykle na czyichś kolanach. potem bąkanie cichego
„przepraszam” z miną, jakby zamiast spodziewanego roweru
górskiego na urodziny dostało się wpierdol.

zabójcze koktajle wódki z winem albo piątkowych zakupów
z old spicem powodują identyczny odruch, zanim się nie
oszołomi i nie przywyknie (przyzwyczajenie — podobno —
jest drugą naturą).

następnego dnia wszystko idzie w zapomnienie, o ile
tylko można było odespać i wziąć aspirynę. ale już
dreszcze okazują się sygnałem niepokojącym.
w tramwaju czy na imprezie łatwo złapać jakieś świństwo.

till the cops come knocking

przecieranie ulubionych džinsów w kroku,
jak przecieranie oczu po nocy z osobą,
której się nie lubi. pozostaje cerowanie
grubymi niciami, naszywanie łat.

wcześniejszy czy później ktoś coś zauważy, ale
teraz trzeba bez zbędnych pytań dostać się
do domu, zrzucić corpus delicti, nago wleźć
pod czyste prześcieradło, nienaruszone
krytycznej nocy przez nikogo, przez nic.

pod zamknięte powieki wpuścić krwotok światła
nie do zatamowania plastrami firanek, nie
pozwalając na przyśnienie się nocy spokojnej,
spędzonej samotnie.

budzik tyka jak mała bomba zegarowa, cofając
wskazówki można opóźnić jej wybuch, ale tylko
na tych parę godzin.
zdalne sterowanie włącza się w pamięci.
wybiera mtv.

bezkrwawe łowy

wilgotne plamki ołowiany krążek szklaneczka
sherry słowa wylizanki:
narzędzie zbrodni na słoniowych nóżkach
fastryga śmierci biegnie przez firanę
słodką jest trutka wykładana gęsto
pod drzwiami śpiących dziecinnych pokoi
ścieg śliny dzieli pościel na krzyż
i mylisz kwarty gdy myślę oktawy
i nie ma sprawy bo chociaż nie patrzysz
ktoś mimo to uważnie prowadzi ten pociąg
i staje na boczniczy i zmienia mu rozkład

(...) tylko dupki ukrywają słabość

tylko dupki ukrywają słabość. ziarna nie sieją.
fala podnosi się, topi ich. we śnie, kurewsko
nie fair, zawodzą zawory bezpieczeństwa.

wartość ma tylko to, co właśnie tracisz. w co
brniesz dalej. nie będziesz miał nic, co można by
ukraść, zniszczyć, nic, czym można by zabić.

dasz sobie tyle czasu — stąd do tamtąd. ruszysz.
w niemal każdą wiarygodną jutrzejszość. w tego
boga uwierzysz, który tu, teraz, za ciebie.

i wyjdiesz z tego jak spod prysznica. nago,
wyzwolony z formy, pusty w treść. poślizgniesz
się na kafelkach, co się zdarza —

złamany ładniej będziesz wyglądał na zdjęciu. po
zdjęciu z tego, powieszony na następnym, krzyż
pęknie o kant sedesu.

spóźnienie

spóźnienie pomimo budzika nastawionego na za dwie godziny pora wstawać. męki w kolejce po bilety, kupowane już tylko dla porządku. uprzejmość z okienka na drugie śniadanie, pierwsze przypadło

definitywnie, skończyło się na spiciu ostatnich kropel alkoholu z pozostawionych przez gości kieliszków. smak wywietrzył razem z procentami, odruch wymiotny jak krótki spazm minął żeby powrócić wkrótce,

naprawdę niedługo. głowa o dziwo nie boli, za to usta już pieką na konto nadchodzących usprawiedliwień. bezcelowych, skoro wszystko przypuszczalnie zostanie odnotowane w moich nagle pośliskłych papierach.

awaria

czasem opłaca się, zamiast męczącego dnia, przedłużenie nocy, żaluzje na sztorc jak kosy chłopów z reprodukcji, czajnik na gazie, alka-prim w roli bułki na śniadanie.

rewizja nadzwyczajna. więc: wyłączyć huczący strumień wody w łazience, telewizor, radio, kupić gazetę z czarno-białą pigułką przekazu, wyrobić sobie pogład, wyuczyć na pamięć.

nie zapomina się już o niczym, nie ma prawie nic godnego pamiętania. niedawne posunięcia wydają się odległe jak dzieciństwo. awaria na razie uszła uwadze znajomych. niech trwa.

plan b

monitorowanie wnętrza kończy się kataklizmem pustki. zastępy skatalogowanych wloką się za zastępowymi, wybranymi odgórnie z tej masy. niezgodą na siebie nie można się przed tym

obronić. na ogół bunt mija po kilku dniach pielenia, spacerowania, zerwania liczników. obroza jest niewidoczna. odważni twierdzą, że nie istnieje. nikt jednak nie posunąłby

się do próby jej zerwania, bo niby po co. wygoda bezstresowego podejmowania jedynie słusznych decyzji kusi. wymiana instynktów na instrukcje odbywa się zgodnie z planem.

hieny

hieny odeszły, tak jak przypuszczałeś — wszystkie naraz niczym wody płodowe, w najmniej oczekiwanym momencie. rozlały się chropowatościami chodnika, powciskały w bramy, zeszyły do szeroko pojętych

piwnic. opłaciło się poczekać, mówisz ogrzewając moją dłoń wewnątrz kieszeni, unikając łatwo wyciąganych wniosków. to ja upraszcam, lekko wychylając głowę za róg. już poszły, poszły —

uspokajam się i nie oglądając biegnę w stronę pobojuwiska. zostały tu te same resztki co zwykle, czyli dobrze, napelnimy się znów jak wtedy, pamiętasz? wtedy też zostawiły nam wnętrza.

oddział

leżę tu i co chwila sięgam między uda. można od tego oszaleć. pościel się lepi do skóry jak nasączone klejem tapety do porowatych ścian.

te wszystkie wydzieliny — ślina na poduszce, ropa w kącikach oczu, czasem, rzadziej, krew. i słowa. to nie jest naturalne pisać wiersze, ktoś powiedział.

łazienka jak średniowieczna izba tortur. nos na kafelkach. maksymalne napięcie, przyznałabym się teraz do wszystkiego, kto chce posłuchać?

lekarz z niezapisaną historią choroby się wylania. za nim prowadzą moją kroplówkę, cewnik i talerz tabletek. żartują, że mocz jest treściwy po

mojej wczorajszej lekturze — „schizma” na szpitalnej szafce. jak ma się kurwa motywację, to się wszystko zniesie. ja nie mam kurwa motywacji.

wiem, że to oddział niedoszłych młodych samobójców, z których tylko paru naprawdę chciało umrzeć, nie rozróżniam ich jednak od reszty.

straże

przy wejściu sprawdzali nadgarstki, więc
rany pochowały się cieknąc do wewnątrz,
wdech ukrył wypukłości; zamilkł poświst
tchawicy, z trudem ukrywając chorobę, co

zatręła flegmą niewidoczny pod ubraniem
żołądek. czytali i z oczu, więc poźółtkle
białka zbladły na zawołanie, pod nimi worki
skóry puste po nieprzespanej nocy napęły

się ciepłą limfą. trzepot rzęs zagłuszył
wytrwały bolesny stukot maszyny parowej
poruszającej krew w sinych naczyniach.
pająk sztucznego ciepła rozpełził się po

zdrętwiałych od dawna policzkach, wargi
wydęły jak skrzela ogłuszonego na święta
karpia. zapomnieli popatrzeć na ręce, a
te drżały monotonnym drżeniem wiedząc,

że nie zdołają go ukryć. ostatnie ruchy
rękawic w pustych przepaściach kieszeni
i wreszcie wpuszczają do środka, gdzie
nieświadomy niczego bóg śpi na ołtarzu.

sacrum bulimiczne

palec w gardle bulimiczki ma moc bliską
stworcy, odkąd ten notuje stały regres
formy. liście gniją. ktoś podłożył bombę
z opóźnieniem zapłonu wliczonym przezornie

w chaos przestępnego roku. miesięczka jak
zwykle zwleka aż upragnione płamienie robi
wstyd białej spódnicy niedzielnego nabożeństwa,
świecą gromnice z odzysku (jeszcze wczoraj

żegnały) ale ciepła za cholere w nich jak w
tobie. zapięcie zamka teraz już łatwe jak
odciągnięcie zamka. żadnej czeczenia, zwłaszcza
jeśli zrzuczone ubrania na coś się przydały,

nie będzie. teraz powiedz jak mnie kochasz, znów
przegapimy ogłoszenia duszpasterskie i może czyjś
typowy nekrolog z błędami stylistycznymi. odruchowo
rozsunę nogi, wpychając palec wskazujący do gardła.

zastyszane

no ile miałeś owacji na stojąco? mam na myśli:
ile w tym tygodniu? rozbijasz się po knajpach
nie płacąc rachunków, pijesz na umór, bierzesz w pysk —
a co ty, kurwa, myślisz, że jesteś charles bukowski?
a ile razy byłeś w pracy? nawet jej nie szukasz,
myślisz pewnie, że poezja jakoś się wyżywi.
poezja być może — ale spójrz na siebie — zarzygane
spodnie, wymięta koszula. i kto ma to prac?
a jeszcze ta gęba nie znająca mydła ni żyletki.
i w takim stanie ty chcesz do historii?
nawet telewizja ciebie nie chce.

uciekinię bez powodu

sygnały niezdrowego zainteresowania docierają co jakiś
czas, podobnie jak pocztówki z odległych miasteczek
sygnowane beznamiętnym „do zobaczenia” przez kogoś,
w kim można się było zakochać, tylko przegapiło się

okazję. pozostawanie w przyjaźni z niezliczoną
ilością niedoszłych mężów i żon jak kolekcjonowanie
kapsli z niemożliwością wygrania jeszcze czegoś ponad
to, co już się otrzymało. a trzeba wkalkulować

mieszanie imion, rosnące rachunki telefoniczne,
niespodziewane wizyty. konsekwencje drobnych kłamstw
jak zimujący w kościach złośliwy nowotwór czekają na
swoją chwilę. odłożona na bok jak zaległe listy słuchawka

jeszcze ciepła ciepłem policzka, traci miarowy puls sygnału.
ostateczne rozwiązanie — rwiesz żyłę kabla strzępiąc opuszki
palców, cieknąc ryglujesz drzwi, udajesz, że wyszedłeś
i nie wiesz, kiedy wrócisz. po drugiej stronie światła gasną

z równą gwałtownością, chociaż nie wszędzie rozgrywa się
dramat. długa zima osłabia czujność, wypycha z resorów,
wymusza podjęcie ryzyka. kupisz pół litra, zmienisz adres na
etykiecie, znikniesz cicho jak wywabiona wybielaczem plama.

list do marcina

świat ruszył. znowu beze mnie. wmówiłam wszystkim,
że jeszcze nie pora, choć czuję się znacznie lepiej.
wracam. a powrót zajmuje coraz więcej czasu.

piślałam jakieś ważne listy, ale nie było komu ich
przeczytać, jakieś wiersze. w sumie godzono się na
nie jako część terapii, tak to teraz odbieram.

wychodzę po mleko, wracam z nim. nie mam pokus, nie jestem zmuszona niczego tłumić, niczego mówić. dziś po raz pierwszy nie wzięłam tabletek i nic, nic.

zasypiam tylko na wznak, ale częściej przebywam w łazience. nie palę światła i nie odkręcam kranu, wije sobie pajęczynę w rogu umywalki.

pomyślałam o tym właśnie wczoraj. była leniwa sobota, niesmaczny obiad, nudny odcinek. nie poszłam oglądać parady, odbytej mimo złej aury.

myślałam, żeby złapać sobie jakieś muchy, ale to klóci się z przejętą religią. pozostawiam sprawy w cudzych rękach. zobaczymy jak się tam ułożą.

wkłułam pod szarą skórę drobinki powietrza. moja krew teraz też ma czym oddychać. kaszel nie powraca, ból serca ustaje. rozkołysana, o tak — czekam na wiadomość.

literacki

to jest poezja seryjna. a to obosieczna. zżółkły wrzód rozkrawam tym nożem trzymając za ostrze. w obie strony bryzga, jak z chuja? tym tam to nie przeszkadza. oni już tylko sobie sami. w tym rzecz, nie popuszczać. nieczęsto aż tak to widać, zwykle zmilczane przysycha jak strupek na łokciu. gesty robią swoje. cudze drażnią jak gdyby brak tolerancji nie był do opanowania. gąbka rozpręża spęczniałe ciało, z wierzchu zostaje osad mydlin, zapach wody. tę wodę trzeba teraz lać.

graffiti

mógłby to być kolejny taki wiersz: idziesz gdzieś, zostawiając za sobą to spalone miasto, chociaż tak naprawdę tylko ty jesteś w nim spalony. linie wysokiego napięcia między nami nie przerwane. piiiii telegrafu.

„kto nie czyta poezji ma wjebane”. graffiti na murze operetki wywołuje w ciemniach twarzy uśmiechy jak zdjęcia. (nikt się nie podpisał, ze wszystkich znaczeń pozostaje więc tylko to najmniej dosłowne). kiedy po

ośmiu kolejne piwa przestają się liczyć, idea powraca czkawką pijackiej deklaracji: kto nie czyta poezji itd. (tylko że rano nikt już nie będzie pamiętał). kolejna knajpa w której jesteś jak list — bezpowrotnie spalony.

wiersz dla maćka meleckiego

pięć w kamień. ptaki fruną szybko jak z klatek
filmu grozy. park jest już zielony, włosy białe,
krew jak zwykle. natrętna myśl o tym zabija każdą
inną, która pewnie dałaby czemuś początek.

nagle konieczność wzięcia zakrętu stawia w martwym
punkcie. zatrząsienie równorzędnych alternatyw
wobec którego można jedynie spasować. wybieranie
nie jest niczyją mocną stroną, przeciwnie.

światło w tunelu okazuje się ogniskiem stworzonym
na bazie porzuconej butelki, z której mógłby
wyleźć dżin, ale nie wyłazi. za to cień kładzie się
pod nogami coraz dłuższy i węższy jak margines.

instynktownie wyczuwana bliskość celu spowalnia
krok, opóźniając na siłę dotarcie, przestając się
nagle liczyć. nikt już nie próbuje wymierzyć proporcji
pomiędzy przebytym a tym, co pozostaje do przejścia.

śnieg retrospekcja

spadł znowu śnieg i przykrył. pod drzwiami
poczty głównej naprzeciw starego kina kolejka
zmarzniętych czeka na dialog z automatem.
znowu nie przyszedł na spotkanie, chociaż

to nie on miał być kanwą wiersza, tylko ty.
przewidziałeś to już wcześniej, wychodząc ze
mnie jak zza rogu z przepraszającą miną
przypadkowego przechodnia, zakłopotanego

zaproszeniem na kawę. szybka retrospekcja —
też był śnieg, też kończyło się, już tylko
przyśpieszony jak kurs pociągu oddech zdradzał
obecność. nastały nowe pory roku i nowe

okoliczności łagodzące. tym razem jest inaczej:
żeton zamarza w fałdzie rękawiczki. nie pamiętam
numera, pod który należy dzwonić w razie czego.
opuszczam kolejkę, ku wyraźnej radości tych za mną.

białystok 22–24 V 1996

Lampa świtu w hotelowym pokoju. Jak w
każdym takim wierszu, tu też panuje
względny spokój.

Mucha nie krąży już. Krew wolniej, szum
spłuczki jak wodospad w skroniach. Jest
ta konieczna zgoda.

Radio puste w środku. Dociera do nas tylko
godzina, po sobie samej, przed kolejną tak
samo przeżyta.

Gościem jest każdy, kto wkrótce wyjedzie.
Gdzieś i po coś, lub z kimś. Widok zza szyby
to też jest dobry powód.

Poznać, zaaprobować — to ma sens. Tęgo w
niektórych więcej jest, w innych mniej. Ale
poziom się wyrównuje — na wysoki.

brynów latem

wrzące tramwaje wyskakujące jak kluski z gardła
śródmieścia. jasne tunele, szerokie podmiejskie
pasaże pod światło. poprawianie włosów na przystanku.

otwarte oczy sklepów, usta kiosków wypływające gazety
sportowe. kolejka knajp serwujących złudne pocieszenie,
siłę chwilowo uderzającą do głowy.

park kościuszki z drużyną harcerską na rolkach. schody,
motel dla niemieckich kierowców ciężarówek. wino. most,
kusząca propozycja skrótu.

zgubiony klucz dzwoni w kieszeni — dzyń, dzyń.

**** [wsunięcie delikatnej czarodziej- skiej różdżki nie...]*

wsunięcie delikatnej czarodziejskiej różdżki nie
załatało powstałych uszkodzeń. łaskotanie krwi
nadbiegłej w te miejsca, tłoczącej się do wyjścia
awaryjnego, wprost na fotel, podłogę, fartuch.

zawrotna szybkość w przebiegu umożliwia koniec
z pamięcią początku. i tak było za wolno, by nie
odczuć bólu w wymiarze szarpnięcia przy zrywaniu
plastra, który nie zdążył się dobrze przykleić.

zanim przyschło już zmiana opatrunku na powietrzny,
całkiem niewidoczny pod bawełną majtek, którą
stopniowo znów będzie można zamieniać na jedwab.
myślisz, że nie zajdzie w tobie żadna zmiana, że

zbudzi się sama, wiedząc, że nie ma już nikogo w środku. okazuje się, że nie ma też nikogo obok i że to nie jest chwilowa absencja, choć nikt cię na taki obrót spraw nie przygotował. więc może to i lepiej —

samoistne poronienie. rychło w czas.

naruszenie, wiersz wtórny

gazety donoszą — bartek istnieje, sylwia nie istnieje. myślę o obojgu bez względu na słowa, przeglądając nekrologi na pchlim targu w jakimś obcym mieście.

element przetargowy pozostał zawieszony w próżni, zawieszony jak wyrok śmierci. dziś znów brakuje odwagi, aby go wykonać. postawić na słabszych.

raz jeszcze można zawierzyć gazetom. ich intencje, jeśli już nie metody, są czyste, powszechnie akceptowane. naruszenie odbywa się gdzie indziej, chociaż coraz bliżej.

pryzwalanie, odmawianie

ten pociąg nie mógł chyba odjechać bez mojego błogosławieństwa. ogon kurzu merda jeszcze przez dłuższą chwilę. coś z tego wpada do oka i przelamuje wymuszoną suchość. teraz autozabieg:

czysta chusteczka znieczuła, osłania, odwraca uwagę jak bileter. droga w tę i we w tę tak samo zawiła, skracana przyzwyczajeniem. coś nie tak z autobusami, czekanie rodzi zamysł reakcji,

ciągnie gdzieś w głąb, do śmierdzącego źródła. osiedlowy zboczeniec pyta, czy chcę się dupić? wykręcam się bokiem, tam pociąg już dojeżdża, tu, teraz, muszę być silna, powiedzieć, że nie.

nasz ostatni raz

kiepskie przyjęcie. goście są jak duchy. tylko w telewizorze nadzieja. błąd w poniedziałkowej sztuce, na szczęście nie do wychwycenia dla laików, jakimi jesteśmy.

żółta skorupka schnie na wymiętym białym prześcieradle.
wyszedłeś — nie wytrzymałeś tempa. szyba lustra
przeświała mi piersi jak klisze, zakrzywia pustkę.

tym słowem, którego nie chciałeś wypowiedzieć
zapisalam każdy mały skrawek papieru w twoich
kieszeniach, nawet bilet. teraz złościsz się
w pociągu na wspomnienie.

wyrzuciłeś mi, że jestem trupem i osunęłam się
właśnie w twoje łóżko. że płaczę i rozbieram się
zamiast wreszcie iść. wtedy nie wzięłam cię
poważnie, tylko do ust.

rozstępy

przełomy i wyłomy o kant dupy. pozostaje
niesmak. no przecież sam mówiłeś —
zmieni się niechybnie, zmieni się już wkrótce.

tymczasem stagnacja zżera energię jak dwustuwatówka,
bez skrupułów, bo jeśli nic już nie drgnie, nie popłynie,
na potem będzie tylko tu i teraz —
to co wtedy?

będziemy pielęgnować stagnację, odwiedzać cmentarz,
pielic i odchwaszczać z uporem maniaka? albo
pozwolimy sobie pomóc chociaż nie lubimy takich pomagierów?

na początek zapalmy papierosa. to światło w oddali
nie może być daleko.

coś się jeszcze wydarzy tej nocy, ścieżki poplączą się,
buty zamokną. duszna ciemność zamieni się w
wilgotną mgłę, łzy napłyną do oczu, wódka do szklanek.

w tym stanie rzeczy zachowanie zasad będzie
niemożliwe — z przyczyn obiektywnych.
nazajutrz przekażemy sobie znak pokoju.

te drugie

wieczorny wstrząs dla systemu, znów
bajzel w mózgu jak po fenactilu —
nie, on się już nie zmieni, zawsze
już będzie używał półśrodków.

będąc ludźmi czynu, kupmy kawałek
ziemi i założmy farmę. tylko nie kopmy
sobie więcej pod nogami, kalecząc ślady
czyichś ostrożnych kroków.

już nie rzucamy się sobie na szyję
jak głodny sznur, już tylko dbamy o
pozorny ład naszych stosunków, jak
to brzmi, posłuchaj.

a kiedy kładziemy się spać, zawsze mamy
żał, lecz nie do kogoś, kto
przecież nam robi to wszystko.

och, ona jest nietykalna.
bardziej niż umarli.

ściółka (sylwia)

zrobiłam się tak mała, że weszłam w mech, jak
kobieta w kobietę, dusząc się własnym zapachem.
byłyśmy dla siebie delikatne.

zastanawiałam się, jeśli to dłużej potrwa, która
którą przeciągnie, jak sprute oczko swetra, na swoją
stronę, im szybciej.

to był tylko sen michael stipe śpiewa magnetofon
zwalnia, widzę zielone niebo i zmarszczki kory, leżę
w mchu i jestem mchem.

mokry ślad buta na wysokości mostka.

telefon milczy albo kłamie

one of these nights — mam w buzi żwir, który nie
chce dać się przelknąć. myję zęby, ze szczoteczki
zostaje wiór, no trudno.

na pożegnanie nie powiedziano sobie nic specjalnie
odkrywczego, to było jedno ze zwykłych pożegnań,
z kimś, kto wróci, zanim zdążysz przytyć i wyłysieć.

mimo wszystko niepokój włókł się jak autobus i ten
żał, że się nie posiada automatycznej sekretarki,
a przecież nie każdy listonosz dzwoni drugi raz

(znowu nie ma mnie w domu. nie mam mnie w domu
stanowczo zbyt często i chyba przez to tracę
coś więcej niż ciepłe posiłki).

tym razem nie zostawiono żadnych wiadomości, mimo
że obiecywano zawsze dawać cynk. jasne, że nic
i tak by z tego nie wyszło, więc pewnie lepiej, że
posiada się przynajmniej kolorowy telewizor

(mężczyzna, którego kroki zrównały się z moimi przy jakiejś ciemnej bramie nawet na mnie nie spojrział, ja też starałam się nie patrzeć).

odjeżdżającym przydałoby się parę ciepłych jak posiłki słów, kilka machnięć, dziecięce „pa, pa” i cmoknięcie w czoło. pozostającym nie pozostaje nic innego, jak tylko zadowolić się szybko, byle czym.

unplugged

tej nocy wszyscy jesteśmy jak wrzucane do ogniska niedopałki. próbujemy znaleźć miarę naszej pojedynczości w melanżu twarzy i sylwetek, nie odnajdując nawet śladu potwierdzającego czyjąkolwiek tożsamość.

skomle we mnie suka oddana w dobre ręce, błądzące właśnie pomiędzy udami. kochałam poprzedniego pana zbyt mocno, by jego nagła zmiana mogła mną nie wstrząsnąć. ale to normalka.

jutro uśmiechnięte kurwy w słonecznych okularach wypną tyłki tarasując poboczne, kiedy pomkniemy zalaną słońcem autostradą szybkiego ruchu. ruchu, który nie zostanie wykonany przez najbliższe dni.

wiersz z kluczem

maleńki zator jak na autostradzie
odcina dopływ tlenu i jak pechowy płetwonurek
ma się z głowy.
cucenie śmierzdzącą watką przytkniętą do nozdrzy
daje ten efekt, który jeszcze długo
pozostanie synonimem wynurzenia się.
piętnaście minut dwadzieścia pięć sekund
— dokładnie tyle z życia leżąc na kozetce
i nie dając znaków, tak że musiano się
w końcu i mną zająć w tłumie pokrzywdzonych
(najwięcej dzieci, złamań i oparzeń).
gdzie byłam? czy odpowiadałam na jakieś pytania?
czy przeprowadzono na mnie eksperyment?
czy coś się stało, co się nie odstanie?
i czemu nie widziałam tunelu i światła i nie czułam
niebiańskiego spokoju?
dlaczego wszystko musi odbywać się nudno, głupio,
bez pompy i bez naszej zgody?
ten punkt — nie znika, on
daje się złapać.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/podgornik-proby-negocjacji/>

Tekst opracowany na podstawie: Marta Podgórnik, Pięć opakowań, Biuro Literackie, Warszawa 2008.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5229-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.